

MILENA – 4714

Małgorzata Sobieszczańska

W ciemnym wnętrzu góry leżeli śpiący rycerze. Byli tam od tysiąca lat i tylko nieliczni wiedzieli o ich istnieniu. Pewnego dnia przechodziła tamtędy dziewczynka. Nagle stanął przed nią jeden z rycerzy. Obudził się i wyszedł napoić konia. Zapytał, czy mogłaby u nich posprzątać. Przez tysiąc lat nawet w zamkniętym wnętrzu góry gromadzą się śmieci i kurz. Dziewczynka zgodziła się, weszła do środka i zabrała się do porządków. Kiedy następnego dnia wróciła do rodzinnej wioski, mieszkali tam obcy ludzie, matka i ojciec dawno nie żyli, a ona sama zmieniła się nie do poznania. Trzeciego dnia zmarła. Bo jeden dzień dla rycerzy to dla nas wiele lat.

*

Miał takie delikatne dłonie. Długie, szczupłe palce, kościste przeguby, zgrubienia przy stawach. Kruche, niemal kobiece. Kiedy o nim myślę, przypominają mi się właśnie dłonie. Zaciśnięte w pięści, ukryte za plecami, gdy się denerwował albo był zmieszany. Opuszczone wzdłuż ciała, przyciśnięte do ud. Poruszające się szybko palce.

Dłonie pomagały mu udawać normalnego człowieka. Czasami miałam wrażenie, że marzy, by być taki jak wszyscy, mieć żonę do zdradzania, dziecko do poniżania i pracę do odpoczynku.

Najbardziej pamiętam jego dłonie. Dłonie Franza Kafki.

Ojcie nasz, któryś jest w niebie, święć się imię twoje...

Cisza. Ta cisza zabija jak bezruch. Kiedyś miałam radio, zawsze cicho grało w pustym mieszkaniu. Głosy krzyżowały się. Moje, sąsiadów i te płynące z głośnika. „Tu radio Praha. Minęła dwudziesta dwadzieścia. Porozmawiajmy o przemijaniu”.

Dziwna rzecz: pamięć.

– Zmarła pani Lisiecka...

- Lisiecka, Lisiecka... Która to?

- Nie pamiętasz? Jej mąż wyskoczył przez okno i potem ciągle mruczała do siebie. Mówiła, że z nim rozmawia.

I nieważne stają się jej knedle, które robiła każdego dnia, nikt nie wie, jakie miała świadectwo w drugiej klasie, nie pamięta jej oddania, gdy siedziała całymi nocami bezsennie przy chorym synu. Najważniejsza w jej długim osiemdziesięcioletnim życiu okazała się ta jedna minuta, kiedy jej mąż stanął na parapecie, bo poczuł, że dłużej nie wytrzyma, że się udusi. I skoczył na plac Wacława, prosto pod nogi konia prowadzącego dorożkę.

Co zostanie ze mnie?

Przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja...

Kiedy rozplyną się linie na twojej dłoni, już cię nie będzie – powtarzała matka.

„Po operacji Pańska córka przebudziła się z narkozy i poprosiła o pokazanie usuniętej przeze mnie nerki. Pokazałem ją, a ona, jak przystało na córkę lekarza, skinęła z zadowoleniem głową, po czym znów zapadła w półsen. Niestety zaledwie po paru miesiącach stwierdziliśmy, że choroba zaatakowała również drugą z nerek i że dla córki Pana nie ma już ratunku”.

Ojciec nienawidził Niemców, miał na nich swoje określenie. *Svabi*, karaluchy.

Każda więźniarka zna każdy fragment muru. Mają nawet swoje nazwy. Ściana Płaczu. Przychodzą pod nią te, które dopiero przyjechały. Jedne krążą tam i z powrotem, inne stoją nieruchomo. Jeszcze nie wiedzą, że aby przeżyć, muszą być w ciągłym ruchu. Tylko te, które żyją w ruchu, żyją w ogóle.

Wiele lat temu ojciec kupił łyżwy. Przez całą zimę zabierał mnie na lodowisko pod mostem Karola. Musiałam jeździć szybciej i lepiej od innych. Kto się nie rusza, ten nie żyje! Nogi miałam opuchnięte, pełne ran od obtarć. Słyszę wciąż jego głos. Kto się nie rusza, ten nie żyje!...

Muszę wstać. Muszę dojść na plac apelowy...

Moje stawy są spuchnięte.

Muszę wstać. Muszę dojść na plac... Muszę się ruszać.

Gruba Gerda kołyszac biodrami przechodzi między pryzmami i z uśmiechem wkuwa igłę w ramię. Potem pod pryzmą rozciąga prześcieradło. Wynosi ciało z baraku. Nie chcę być następna. Muszę wstać.

Jako w niebie, tak i na ziemi...

Modlitwy nauczyłyśmy się od Polek. Powtarzane codziennie słowa mają w sobie coś kojącego, mruczone, szeptane, pozwalają na chwilę zapomnieć, gdybym przymknęła oczy, poczułabym duszącą woń kadzideł w kościele. Mogłabym wyobrazić sobie, że wszystko jest normalne, zwyczajne, bezpieczne.

Kiedy jeszcze chodziłam na plac apelowy, obserwowałam niebo. Każdego dnia inne. W każdej minucie inne. Chmury przepływały. Odpływały, przypominając, że gdzieś tam, za drutami toczy się życie. Ludzie kochają się i nienawidzą, jedzą wspólnie kolację i martwią się, co będzie jutro.

Ruch i pamięć. Tym jest człowiek. Zrozumiałam to właśnie tutaj. W Ravensbruck.

Nie mogę zapomnieć. Dopóki pamiętam, jestem.

*

- Co widziałaś po drodze?

- Konie.

- Co jeszcze?

- Ludzi.

- I co?

- Siedmiu pozłacanych aniołów przy placu Maltańskim.

- Co widziałaś po drodze?

- Stare ujęcie wody pitnej obok kościoła świętego Ducha przy ulicy Dusni. Pamiętasz? Jest w kształcie dwóch dłoni z brązu obejmujących strumień.

- Tam nie ma ujęcia wody.

- Jest.

- Nie przypominam sobie.

- Jest. Naprawdę.

- Nigdy go tam nie było.

- Zawsze było, mamo.

Leżała chuda, wycieńczona, puchły jej ręce i rozmywały się linie na dłoniach. Nie jadła. Przyjmowała tylko morfinę, którą dostarczał jej ojciec. Jeszcze pamiętała. Wizyty w Cafe „Orient” albo w winiarni „U Nosticu” na Prikopy, spacer po wytwornych pasażach w domach handlowych.

Przechadzała się po Pradze, smukła, elegancka, z włosami schowanymi pod kolorowym szalem. Podziwiana i adorowana. A potem leżała uwięziona na dwóch metrach kwadratowych stojącego pod ścianą łóżka. Byłam jej jedynym łącznikiem ze światem, do którego miała już nie wrócić, jeszcze się z tym nie godziła, jeszcze żyła złudzeniem, że to tylko na chwilę. Kazała mówić głośno, powtarzać, by zagłuszyć, nie wiedzieć, nie słyszeć głosów z gabinetu ojca. Nie zauważać, jak wpada po południu i zabiera bukiet kwiatów, który podarował jej tego ranka. I za chwilę oddaje je pacjentce, kolejnej kochance.

Zdarzenia, pamiętamy i przekazujemy tylko zdarzenia. Kto oprócz mnie będzie pamiętał jej nieśmiały uśmiech albo wyniosłe spojrzenie?

Puchną mi stawy, tak jak mojej matce. Nie mogę się ruszać, tak jak moja matka. Jestem uwięziona na łóżku, jak moja matka. Nie chcę umierać. Mam czterdzieści osiem lat.

Muszę pamiętać Pragę. Opowiedz mi, co widziałas? Konie. Ludzie. Pozłacane anioły. Stare ujęcie wody pitnej obok kościoła świętego Ducha. Dwie dłonie z brązu obejmują strumień.

*

Uwielbiam kryminały. Zawsze na początku pojawiają się tropy, które zapowiadają rozwiązanie. Wszystko zależy od tego, na ile uważnie czytamy, dobry detektyw musi je dostrzec, zrozumieć sens i znaleźć klucz do łamigłówki. W dzieciństwie kryła się odpowiedź – jakie będzie moje życie.

Poród trwał trzydzieści dwie godziny. Całą dobę i jeszcze sześć godzin koszmaru. Ojciec stał cały czas obok, zabronił lekarzom podawania jakiegokolwiek środka przeciwbólowego.

- Za wszelką cenę ratujemy dziecko - powtarzał.

Dłonie trzymałam cały czas zaciśnięte w pięści. Tak bardzo pragnęłam syna. Chłopiec, proszę, niech to będzie chłopiec, szeptałam przez trzydzieści dwie godziny.

- Dziewczynka! – oznajmił lekarz, gdy koszmar wreszcie się zakończył.

Jana. Moja Jana. Na którą wszyscy i tak mówili Honza. Jak na mojego ojca. I na mojego brata, którego nie potrafiłam zastąpić ojcu.

Wszystko to kretynstwo i mam straszne bóle – powtarzałam przez kolejne miesiące. Szpital. Sanatorium. Kilka miesięcy uwięzienia na kolejnych łózkach. Za oknem wciąż słyszałam cygańską orkiestrę. Nie wiem, czy naprawdę tam była, czy to sen po morfinie.

Pewnej nocy obudził mnie śpiew, cichy, jednostajny, bez słów. Na stoliku obok leżał pistolet. Najpierw go zobaczyłam, a dopiero potem Jaromira. Mojego męża. Ojca Honzy.

- Zrób to teraz Mileno – wyszeptał. – Potem nie będziesz miała siły.

Dlaczego go wtedy nie posłuchałam? Całe życie to jeden dzień u śpiących rycerzy, nieważne, czy trwa dziesięć, pięćdziesiąt, czy sto lat. Dlaczego wtedy nie posłuchałam Jaromira?

Gruba Gerda wbija igłę w ramię. Mój ojciec wbija igłę w ramię. Uśmiecha się, znów jesteś moja Milcicka, wyleczymy cię. Mam pięć lat, dwadzieścia pięć, czterdzieści pięć...

Trzy lata temu svaby nieoczekiwanie zgodziły się, byśmy dostawały paczki z domu. Wszystko ściśle określone, waga i wielkość, nawet zawartość. Jeden ciepły wełniany sweter. Niedługo potem ojciec przysłał mi paczkę. Drżały mi ręce, gdy ją otwierałam. Pamiętał, więc pamiętał. Pomoże mi, nie zostawi mnie samej. Tak bardzo potrzebowałam tego swetra, zimno wdzierało się wszędzie, pod skórę, pod włosy, pod paznokcie. Otworzyłam paczkę. Ojciec przysłał mi ludowy strój.

A jednak wzięłam ten pistolet. Nazywał się Dicodit. Tabletki trzymałam schowane w starym żółtym dzbanku na mleko. Były zawsze w pogotowiu, nie oddalałam się od nich dalej niż na kilka metrów.

Jaromir wychodził coraz częściej i na coraz dłużej. W jego pustym pokoju buszowały koty, siedząc u siebie mogłam wyobrażać sobie, że to on tam jest, zajęty swoją pracą, projektami, które robił nie tylko dla Czechów, ale i dla Rosjan, których podziwiał z bezpiecznej odległości.

Zamykałam się w pokoju. Przekręcałam klucz. Wypychałam go na zewnątrz przez szparę pod drzwiami. Błagałam Honzę: nie otwieraj, choćbym skomlała, błagała i zaklinała na własne życie.

Przedmioty wokół znów nabierały kształtów. Coraz bardziej napierały ściany pokoju. Podstępnie, jakby grały ze mną w jakąś grę, dwa kroki do przodu, jeden do tyłu. Ciasno. Duszno. Rozbijałam przedmioty, waliłam w drzwi: Honza, uratuj mnie. Zbaw.

Honza mówiła to, co jej kazałam. Kłamała. Dzbane jest pusty, mamusiu. Wytrzymaj jeszcze trochę, mamusiu.

Trzęsły mi się ręce, twarz nie należała do mnie, skóra zwisała, jakby nawet ona uciekała ode mnie i tego życia. Bezbarwna, zamazana, żadna część nie pasowała do drugiej.

- Wskoczę stąd – i wdrapywałam się na parapet. – Wskoczę!

Widzę ją, jak stoi pod drzwiami, ściska w dłoni klucz i boi się, że naprawdę to zrobię. Wskoczę pod kopyta koni ciągnących dorożki. Albo pod koła taksówek.

- Mamusiu, nie rób tego – szepcze.

Zaczynam krzyczeć. Ten krzyk wychodzi ze mnie sam, to nie ja, to ból, głód, to rozpacz. Aż padam wyczerpana.

Wtedy odzywa się drugi głos, podstępny, słodki. Moje ciało dopada do drzwi.

- Kochanie, nie musisz otwierać. Wystarczy, że weźmiesz trochę pieniędzy z półki w holu, zejdiesz na dół i zawołasz taksówkę. Kierowcy powiedz prawdę. Że mamusia jest chora i musisz jechać po lekarstwa dla niej. Słyszysz?

Cisza. Honza tam stoi. Wiem to. Słyszę jej urywany oddech.

- W aptece przy placu Strossmayera zapytaj o aptekarza Kremlika. Powiedz mu prawdę. Że mamusia zamknęła się w pokoju i grozi, że wyskoczy przez okno, jeśli nie dostanie lekarstwa. Zapamiętałaś?

Słyszę jej oddalające się w stronę holu kroki. Czuję ulgę.

- Tylko pospiesz się! – krzyczę jeszcze za nią. – Zanim ktoś wróci do domu!

Widzę ją potem, wybiega z bramy, macha na przejeżdżającą taksówkę, wsiada. Samochód odjeżdża w stronę placu Strossmayera. Jestem uratowana. Wiem, że za chwilę moja ośmioletnia córka przywiezie Dicodit.

*

Muszę mówić. Cokolwiek. Cisza zabija jak bezruch.

Lubię przyglądać się dłoniom. Niektóre są mocne, silne, inne kruche, jeszcze inne wykrzywione. Jego dłonie były piękne.

Franz pojechał kiedyś do mojego ojca. Mieszkaliśmy wtedy w Wiedniu i przyznałam się Franzowi, że rozpaczliwie potrzebuję pieniędzy. Widzę go, jak siedzi w poczekalni przed jego gabinetem. Gospodyni oznajmia, że profesor wyjechał. Franz wodzi palcami po rondzie kapelusza. Czeka. Jest cierpliwy i wytrwały. Ojciec w końcu przychodzi. Franz wygina za plecami palce ze zdenerwowania. Czy mógłby pan wysłać pieniądze Milenie? Widzę, jak rozkłada bezradnie palce, słysząc odmowę. Zaciska je znów, by nie reagować na gniew ojca. A potem wyciera dłonie za plecami, są teraz wilgotne, gdy ponawia prośbę o wysłanie mi pieniędzy.

Napisał kiedyś, bym wykroiła go nożem ze swego życia. Całe życie usiłowałam to zrobić.

*

Nawet tu, w baraku, czuć czasami rano zapach żywicy, dochodzi z okolicznych sosnowych lasów. W krematorium rozpalają dopiero po południu. Svaby dbają, by słodkawy odór z komina rozwiął się w nocy.

Codziennie nowa grupa kobiet przechodzi przez bramę. Skulone, przerażone, niepewne. Jeszcze niedawno na małym dworcu pruskiej wioski Ravensbruck koło kurortu Furstenberg wysiadali letnicy.

Kiedyś lubiłam dworce. Ten pośpiech, rozbiegane spojrzenia, który peron?, szybciej, sprawdziłeś godzinę?, szybciej, zaraz odjedzie!, szybciej...

Westbahnhof!

Jeśli chcesz pracować jako tragarz, najpierw posiadź sztukę znoszenia upokorzeń. Kluczem jest dobre miejsce. Pasażer wysiada i patrzy na ciebie. Uśmiech! Usłużny gest! Tym odwzajemniasz lek i pogardę podróżnych wobec ciebie. Teraz podchodzisz, bo zaraz przegapisz moment. Twój moment. Bo ktoś cię ubiegnie. Łapiesz pakunki, kufry, walizki i zanosisz do dorożki. Lęk i pogarda podróżnego zamieniają się w pobłażliwość i poczucie winy. W końcu daje ci kilka monet i ucieka, a ty możesz cały rytuał zacząć od początku.

Przed wejściem do hali biedacy. Na peronie pociągi do Paryża, Amsterdamu, do Hagi. Wytworni mężczyźni przyglądają się jak piękne kobiety piją gorącą czekoladę. Gdy pociąg zniknie za kolejowym wiaduktem, peron wypełnia się chmarą postaci w łachmanach, kaszlących kobiet, nieogolonych mężczyzn. Przyszli zdobyć coś do jedzenia.

Tragarz ma wtedy chwilę wytchnienia. Do następnego pociągu!

Pociągi jeszcze jeździły i mogłam przynieść do domu trochę jedzenia, zdobyte pieniądze Ernestowi pozwalały bywać w kawiarniach. Ale to było przedtem. Albo potem.

Wcześniej chodziłam na dworzec Franciszka Józefa w Pradze. W pierwszym roku pierwszej wojny. Wszędzie wagony towarowe, a w nich mężczyźni, kobiety, dzieci. I żołnierze wracający z frontu. Dla nich ojciec otworzył klinikę. Odtwarzał ich twarze sprzed wojny, zwyczajny dentysta stał się nagle niemal Bogiem. Z niekształtnej masy tworzył rysy człowieka. Wtedy zrozumiałam, czym naprawdę jest wojna. To wyrwane policzki, bryła mięsa w miejscu, gdzie powinien być nos, czaszka wyzierająca z rany, pusta, pozbawiona języka i warg jama ustna, jedna wielka ciemna czeluść.

Zaraz po tej pierwszej wojnie Praga odżyła. Kawiarnie zapełniły się gośćmi. To było coś więcej niż tylko życie towarzyskie. To rytuał dla wtajemniczonych. Towarzyska gra o surowych zasadach.

Wystarczy, że przymknę oczy i znów widzę Ernesta z papierosem w palcach, wpatzonego w czerwony marmur stolika. Milczący, lekceważący, pożądany. Otoczony adoratorami i – adoratorkami.

- Ernest! Widziałeś?...

- Czytałeś?...

- Znasz?...

A on ziewa lekceważąco.

Wybucham śmiechem na jakąś uwagę, zasłaniam usta, przepraszam, naprawdę się staram, ale to takie zabawne, napuszone, pretensjonalne. Patrzy zdumiony. Widzi mnie.

I wreszcie udało się! Przysłał mi bilety na koncert w Rudolfinum. Sam Ernest Polak! Całe popołudnie spędziłam przed lustrem. Czerwona sukienka... Zbyt oczywista. Zielona? Jak na imieniny do ciotki. Czarna? Przecież nie idę na pogrzeb. W końcu zdecydowałam się na niebiesko-fioletową z wielkim dekoltem. Przyjechał dorożką. Musiałam wymknąć się oknem, by ojciec mnie nie zauważył. Ernest stał lekko znudzony, elegancki, wytworny. Szczupły. W mojej szerokiej sukni poczułam się naraz jak wielka kobieta-namiot. Ernest miał ze sobą całą partyturę, podczas koncertu wskazywał fragmenty wykonywanego utworu. Dłonie mu drżały. I właśnie wtedy serce przeleciało przeze mnie jak kamień i spadło gdzieś w okolicy stóp i chociaż szarpałam i ciągnęłam z całych sił, nie udało mi się go podnieść.

Chciałam dać mu wszystko. Zamiast na uczelnię, biegłam do sklepu. Na rachunek ojca kupowałam mu biżuterię, kwiaty i ubrania. Wpadłam kiedyś do Banku Rolniczego, gdzie pracował, i położyłam na biurku trzy gałązki forsycji. Zapadła głucha cisza. Wszyscy na nas patrzyli. Nieruchome, śmiertelnie poważne spojrzenia. Ernest spuścił głowę.

Pobiegłam kupić mu zegarek. Na przeprosiny za te kwiaty. Jubiler popatrzył na mnie uważnie, a potem pokazał gazetę: „Nie zamierzam dłużej odpowiadać za rachunki wystawiane przez córkę, Milenę, na moje nazwisko. Profesor Jesenski”.

Weszłam do kolejnego sklepu. Po wewnątrz kręciło się sporo klientów. Poprosiłam o spinki do mankietów, marudziłam, w końcu leżało przede mną na kontuarze kilkanaście par, a obok klient prosił o pokazanie naszyjnika. Sprzedawca odwrócił się na chwilę, wykorzystałam ją, zgarnęłam jedną parę. Nikt nie zauważył. Kiedy wrócił do mnie, ruszyłam do wyjścia. Nic mi nie odpowiada.

I pobiegłam dać Ernestowi kolejny prezent.

W końcu stało się. Ojciec od razu się domyślił. Nieślubne dziecko, w dodatku z kimś tak niegodnym jak niemiecki Żyd?! Błyskawicznie załatwił lekarza. Zabieg i po kłopotach. Zabronił spotkań z Ernestem.

Wymykałam się potajemnie.

Kradłam i podrabiałam podpis ojca na rewersach. Kochałam się ukradkiem z Ernestem.

Czy karałam go za to, co zrobił matce? Za jego zdrady, niefrasobliwość, nieobecność, gdy umierała? Nie wiem, może.

W końcu ojciec znalazł odpowiedniego lekarza. „Chorobliwy brak podstawowych norm moralnych i uczuciowych”. Wiosna. Wczesny ranek, sąsiedzi jeszcze śpią. Pod gabinet ojca podjeżdża samochód. Do mieszkania wchodzi dwóch sanitariuszy. Chciałam uciec, nie zdążyłam. Chwycili mnie mocno pod ramiona. Szarpałam i gryzłam, przyłożyli mi do ust szmatę, zrobiło mi się słabo, a po chwili straciłam przytomność. Zauważyłam jeszcze ojca. Stał w drzwiach swojego gabinetu. Patrzył zimno, jak zabierają mnie do zakładu zamkniętego. Miałam tam zostać do czasu, gdy akt ubezwłasnowolnienia nabierze mocy prawnej.

Wyjechaliśmy z Ernestem do Wiednia. To był warunek ojca: nie będziecie mieszkać w Pradze. Wypuścili mnie ze szpitala. Na ślubie ojca nie było. I nie było go też na dworcu, gdy odjeżdżaliśmy.

Miłość cierpliwa jest

łaskawa jest

Miłość nie zazdrości

Nie szuka pokłasku

Nie unosi się pychą

Nie dopuszcza się bezwstydu

Nie szuka swego

Nie unosi się gniewem

Nie pamięta złego...

Wspomnienia nigdy nie układają się chronologicznie, przypominanie sobie życia nie jest seansem jednego filmu.

Frau Kohler – tak adresował pierwsze listy. Pani Kohler była dozorczynią w domu, w którym mieszkaliśmy w Wiedniu. Duże litery, stawiane zamasyście. Mogę sobie wyobrazić, jak pisze szybko, niecierpliwie, z lękiem, że się rozmyśli, nie napisze, nie wyśle. Pisał prawie codziennie.

- Więc młody pan Kafka ma romans z dozorczynią? – zapytał Ernst wchodząc z pocztą.

Natychmiast zatelegrafowałam do Pragi. Adresuj listy na poste-restante, proszę.

Frank. Franzl. Franzl.

Był ratunkiem przed Wiedniem. Przed nieudanym romansem, pogardliwymi spojrzeniami Ernesta i bywalców kawiarni, gdy za głośno się śmiałam, za dużo mówiłam i zbyt gwałtownie gestykulowałam.

- Postaraj się zrozumieć, Mileno - Ernest uśmiecha się udręczonym i zarazem błagalnym uśmiechem.

Czy dlatego zostałam kochanką Hermanna Brocha? Żeby im udowodnić, że mogę być kochana, pożądana?

Siedząc obok Ernesta, pali swoją nieodłączną fajkę i mówi, patrząc w przestrzeń.

- Czy rzeczywiście w czasach, w których żyjemy możliwe jest istnienie czegoś takiego jak człowiek niewyznający żadnych wartości, czy też tkwimy wszyscy w sidłach przeszłości oraz społecznych i psychologicznych więzów i nakazów?

Nawet w łóżku, gdy leżałam nago, nie przestawał pytać.

- Czy nie jest tak, że człowiek w pojedynkę jest błaznem, ale wystarczy, że jest z drugim człowiekiem, żeby stał się częścią nowej ludzkości? Czy Wiedeń nie jest kompletnie szalonym miastem, pełnym emerytowanych oficerów, wojennych wdów i lekarzy dusz? Garnizon, gdzie przeszłość paraduje za zburzonymi murami i tylko marzenia są nienaruszone...

Cieszyłam się swoją tajemnicą jak dziecko, ukrywałam, pieściłam, sekret dawał mi poczucie siły, pewności siebie, gdy natrafiałam na zimne, pogardliwe spojrzenia przyjaciół Ernesta.

- Czy możesz zakończyć wizyty u Brocha? – aż podskoczyłam zdumiona, gdy wszedł do mojego pokoju. Od przyjazdu do Wiednia prawie nie przekraczał jego progu. – Ma więcej kochanek, nie tylko ciebie. Nie chcę, żebyś czuła się zraniona.

Poniżenie jest gorzkie.

Na biurku przy oknie stała mała czarna maszyna do pisania firmy Underwood. Kupiłam ją od handlarza na Westbahnhof. Z błyszczącą pokrywą i małym woreczkiem ze szczoteczką i szmatką do czyszczenia czcionek. Mój ratunek. Przed biedą, rozpaczą, przed Ernestem. Moje życie.

Monotonny stukot klawiszy pomaga uporządkować myśli.

Gospodyni domowa, która nocą stawiała się prostytutką.

Kelner, który handlował lekami na czarnym rynku

Listonosz, który roznosił jedzenie, ukryte na dnie torby. Zatluszczone paczki pod innymi przesyłkami.

Małe „szkice z życia”. Ukrywałam je przed Ernestem. Na wszelki wypadek, żeby nie poczuł się dotknięty moją zdradą. Ta była prawdziwa, w odróżnieniu od Hermanna.

Czerwona suknia... Zielona... Beżowa... To takie proste. Zanurzam dłoń w szkatułkę, chłodne klejnoty mają taki przyjemny dotyk...

Wchodzę do kawiarni w nowej sukni. Ernest siedzi przy stałym stoliku ze stałymi bywalcami. Zauważają mnie. Zaskoczenie. Podziw. Podchodzę. Ernest obejmuje mnie władczym ruchem właściciela.

- Och, Mileno...

I trzask. Walę go z całej siły w twarz.

- Jestem złodziejką. Ukradłam drogi klejnot.

Niedowierzanie na twarzy policjanta.

- Dobrze – jego głos brzmi łagodnie, uspokajająco. - Ja zanotuję, a pani pójdzie się przespać.

- Nie ma mowy. Wyraźnie panu mówię, że ukradłam klejnot i jestem złodziejką.

- Nie chcę oczywiście zaprzeczać pani...

- Miałam głęboki kryzys uczuciowy, który przejawiał się nieodpartym pragnieniem posiadania nowej sukienki.

Grzywna!

W sumie to najprostsze rozwiązanie. Dlaczego wcześniej na to nie wpadłam? Wystarczy zamknąć szczelnie okno i otworzyć gaz. Minuta po minucie wciągałam go w płuca. Spokojnie. Oddech jest regularny, myśli jasne. Więc tak wygląda koniec?

I wtedy weszła pani Kohler.

Pani Kohler wkłada jeden knedliczek za drugim i dociska trochę trzonkiem łyżki, tak jak się nadziewa gęsi, metodycznie i wytrwale, aż w końcu wymiotuję prosto na świeżo wypastowany parkiet.

Tyle pamiętam.

Dziwna rzecz, pamięć.

*

Zakochałam się w nim, kiedy pierwszy raz przeczytałam „Palacza”. Napisałam do Franza, że opowiadanie wydaje mi się osobliwe i wstrząsające.

Słowa. Połączyły nas słowa.

Tam gdzie zaczyna się język, zaczyna się człowiek, rozumiałam tłumacząc jego teksty. Być może powinno się to ująć inaczej: Tam, gdzie zaczyna się język, zaczyna się świat.

Do Wiednia przyjechał prosto z sanatorium. Chciał, bym na dworcu czekała na niego przed wejściem: „Proszę cię, Mileno, nie zaskocz mnie przyjściem z boku albo z tyłu, ja też tego nie zrobię”. Nieustannie się uśmiechał, ale nie było w tym radości, raczej niezręczność. Pocierał wciąż palcami grzbiet i przegub dłoni. Stawał w bezpiecznej odległości, gdy znaleźliśmy się w jednym pokoju. Szedł drugą stroną ulicy, kiedy razem wychodziliśmy. Bał się. Więcej. Był przerażony.

Pierwszy dzień nazwał niepewnym. Umówiłam się wieczorem z przyjaciółką i pożegnałam go stojącego nieporadnie przed wejściem do hotelu.

Drugi dzień nazwał nazbyt pewnym. Nie przerywając opowieści, gestykulując, weszłam za nim do hotelu, minęłam recepcję i wpakowałam się na górę. Ręce mu drżały, gdy przekręcał klucz w zamku swojego pokoju.

Rozmawialiśmy do zmroku. Leżałam obok niego na wąskim łóżku. Skulona. Z podwiniętymi nogami. Poprosił nieśmiało, żebym odpięła cztery pierwsze guziki bluzki. Oparł tam głowę. Zasnęłam przy dźwięku jadących tramwajów.

Rano znów byłam obcą kobietą z końca pokoju. A wieczorem zaproponował, żebym przeniosła się do niego, do Pragi.

Czwartego dnia – rozstanie. Przytuliłam się do niego na peronie.

Napisałam, że zamieszkam z nim. Następnego dnia spanikowana wszystko odwołałam. Przecież wiem, on nie potrafi być z kobietą, którą kocha, on w ogóle nie ma siły kochać.

Tato, chcę się rozwieść. Złagodniał. Wszystko będzie dobrze, odpowiedział, tylko wróć do Pragi.

Uwielbiam okna. Tramwaje. Pociągi. Mieszkania. Patrę przez okno na świat, jak na przedstawienie w teatrze. To szansa ucieczki. Przed kłamstwem, rozpaczą, bólem. Okno jest bramą do wolności. Za oknem jest świat. Za oknem jest niebo. Za drzwiami jest tylko rzeczywistość.

Ta rzeczywistość wtargnęła do nas znienacka. Śniadania przy wtórze krzyków Hitlera i kolacje przy przemówieniach Goebbelsa. Zimno. Było wtedy zimno.

A potem komunikat. Od samego rana: wojsko niemieckie zbliża się do Pragi. Wojsko niemieckie zbliża się do Pragi. Należy zachować spokój. Idźcie do pracy. Wyślijcie dzieci do szkoły. Wojsko niemieckie...

- Jak w obecnej sytuacji miała pani czelność!, a raczej bez-czelność drwić z niemieckiej armii?! - wykrzywiona złością i strachem twarz SS-Hauptsturmfurera von Wolmara.

Gazeta zamknięta, nikogo nie ma, chaos, szeptane z grozą słowa "Buchenwald", „Ravensbruck"... Ulotki przewoziła Honza, tak było bezpieczniej, nikt nie robi rewizji u jedenastoletniej dziewczynki.

Telefon u starego majora Sztardy odbiera obcy mężczyzna. Majora nie ma, co przekazać? Nic. Co robić? Wysyłam tam Honzę, niech powie, że przyszła po książki dla mamy... Godzinę później Honza wraca. Razem z nią niemieccy żołnierze. Przewrócili całe mieszkanie, gazetkę „Do boju" nie znaleźli.

- Zbieramy twoją mamę tylko na krótką rozmowę.

Miała pojechać do pani Meyer, ona obiecała się zaopiekować Honzą, gdyby mnie zabrakło...

*

Ile żyć mieści się w jednym życiu?

Co ma wspólnego Milena Polak – żona bankowca, niemieckiego Żyda, Ernesta Polaka – z Mileną Krejcar – żoną lewicującego architekta, syna leśnika z Dolnej Austrii, Jaromira? Z kochanką Evżena Klingera, Słowaka i ostatniego lokatora? Czy nagle nieśmiałą czterdziestodwulatką zakochaną w Willi Schlammie?...

Jesteśmy tylko epizodem w cudzym życiu.

Kobiety często czują, że ich życie powiela pewien wzorzec. Mogą być szczęśliwe w swoich związkach, mieć dobrych mężów i pilne dzieci, a jednocześnie czują, że będą już zawsze żyć tak, jak teraz. Powinny sobie jednak uświadomić, że w życiu nie ma nic nieuchronnego. Z każdej sytuacji są różne wyjścia. Decyzja należy do nich. Własne życie nigdy nie jest czyjąś winą.

Jego dłoń była sucha, ciepła. Delikatne palce stały się niemal przezroczyste. Leżał na plecach z wzrokiem utkwionym w sufit. Nawet nie wiem, czy mnie rozpoznał. Franz. Franzi.

- Prawie nie może mówić – wyjaśniał lekarz w drodze do jego pokoju. – Musimy mu robić zastrzyki z alkoholu w górną część krtani, żeby mógł przełknąć choć pół szklanki wody.

Obok jego łóżka siedziała jakaś kobieta, podniosła na mnie zdziwione spojrzenie. Usiadłam i wzięłam go za rękę. Przygasające światło sączyło się między zasłonami. Więc to koniec. To naprawdę koniec.

Dawno temu wieczorami mama opowiadała mi legendę o uśpionych rycerzach. Myślałam zawsze wtedy o tej dziewczynce, która wchodzi na jeden dzień, a wychodzi staruszką. Tak bardzo żał mi było tego życia, którego nie przeżyła. A dziś? Sama nie wiem. Ale chyba trochę jej zazdroszczę...

Milena Jesenska zmarła wczesnym rankiem 17 maja 1944 roku.